Manali miało być później, ale z uwagi na zaognioną sytuację polityczną w Kaszmirze, musieliśmy zmienić plany i ruszyliśmy w stronę Himalajów i Ladakhu.

Inna sprawa, że czasem dopada nas PECH i coś się psuje i zmienia… na przykład relację z wyprawy miałam spokojnie pisać, korzystając z laptopa targanego dzielnie w bagażu przez Kumara. Tymczasem wspomniany laptop już w Kalkucie odmówił współpracy. Dlaczego? Najtęższe głowy informatyczne tu w Indiach (ADAM, RYSIU) i w Chorzowie (SEBASTIAN DUDEK) nie uruchomiły „kompa" i buntownik musiał wrócić do kraju razem z Jarkiem Kurakiem, który na kilka dni dołączył do wyprawy.

No więc piszę w notatniku mojej komórki, co nie jest najwygodniejsze… ale trudno.

A z Amritsaru ruszyliśmy busikami w kilkunastogodzinną podróż do Manali – miasta w Himaćal Pradeś, niewielkiego miasteczka u podnóża największych gór nad rzeką Beas, owianego dość kiepską sławą, gdyż to właśnie tu mają częściej niż gdzieś indziej znikać ludzie. Bez śladu. Być może porwani… przez kogoś, po coś…

My do Manali przyjechaliśmy nocą. Marzyłam, żeby wziąć prysznic, wskoczyć do łóżka i zasnąć, ale wspomniany wcześniej pech dopadł mnie po raz kolejny – wciśnięty do bocznej kieszeni plecaka i przez wiele godzin przyciśnięty innymi bagażami szampon nie wytrzymał i wylał i… do prawie drugiej w nocy czyściłam sandały, próbowałam wypłukać umazaną gęstym płynem część plecaka itd. A nie było to łatwe, bo szampon zanim się wypłucze to się pieni. Koszmar. Na szczęście mogliśmy pospać dłużej i wyszliśmy zobaczyć centrum miasta dopiero po dziewiątej.

Manali zauroczyło nas wszystkich. Centrum miasteczka to wygodny deptak (por. Krupówki) z restauracyjkami i tysiącem sklepików, które spenetrowali nasi młodzi i w których nabyli drogą zakupu (Eluniu pozdrawiam!) grube skarpety, ręcznie uszyte plecaczki, czapki i inne drobiazgi. A po zakupach i zjedzeniu drugiego śniadania poszliśmy zwiedzać świątynie Manu, Hadimba Devi i Vashist – małe, stosunkowo niedawno wybudowane, ale przepięknie ozdobione i ważne dla wyznawców hinduizmu. Przy ostatniej dodatkową atrakcją są niewątpliwie źródła gorących wód – naprawdę gorących, o czym mogliśmy się przekonać postawiając pod strumyki opalone łapki. W Old Manali, gdzie jest jedna ze świątyń, w urokliwej knajpce wśród drzewek, przyciągających spojrzenia milionem małych czerwonych jabłuszek, zjedliśmy lancz i mogliśmy spokojnie pogadać o wrażeniach z nizinnej części wyprawy. Natomiast wracając do nowej części miasta mogliśmy pozaglądać na podwórka domów lokalsów i podziwiać ornamenty wyrzeźbione na futrynach drzwi i ramach okien drewnianych zabudowań. Pospacerowaliśmy też wśród nadzwyczaj wysokich cedrów himalajskich i wyciszyć się przed kolejnym etapem podróży.

Oj, nie chciało nam się opuszczać Manali następnego dnia wczesnym rankiem, pomimo że przed nami były Himalaje i Ladakh, na które większość uczestników wyprawy czekała chyba najbardziej.